



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci
Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



Z wakacyjnych wczasów. — Połów ryb.

B. Dyakowski.

NASZE ROŚLINY UPRAWNE.

(Dalszy ciąg).

Staranne oczyszczanie zboża od tych wszelkich domieszek jest pierwszym warunkiem otrzymania dobrej mąki. Jeżeli rolnik nie dba o to, to i „milenie na kamień nowy” nie na wiele się przyda. Ale gdy rolnik oczyścił ziarno starannie, to reszta już zależy wyłącznie od młynarza i jego jest rzeczą tak robić, aby mąka była możliwie ładna i dobra.

Każdy młyn składa się z trzech głównych części: 1) silnicy czyli motoru wprawiającego go w ruch; 2) z młyna właściwego, to jest z przyrządu rozcierającego ziarno; i 3) z przyrządów odsiewających, czyli gatunkujących, które oddzielają otręby od mąki, oraz lepsze jej gatunki od gorszych.

Silnica może być wodna, wietrzna albo parowa, zależnie od tego, czy będzie poruszana wodą (jak koła w młynach wodnych), wiatrem (śmigi w wiatrakach) czy też wreszcie parą (w młynach parowych). Dawniej były w użyciu wyłącznie młyny wodne i wiatraki, przy nich bowiem człowiek korzysta z siły natury już gotowych, jak spadek wody lub prąd powietrza. Młyny parowe wymagają ogrzewania i wytwarzanie pary, są też kosztowniejsze, ale za to nadają się do użytku w każdej chwili, młynarz nie potrzebuje oglądać się przy nich na to, czy wiatr wieje lub też jak wysoko stoi woda w rzece albo stawie.

Młyn właściwy czyli przyrząd rozcierający może być żarnowy albo walcowy. Pierwszy składa się z dwu płyt kamiennych lub stalowych, między którymi rozciera się ziarno w skutek obracania się jednej z nich albo też obu; w walcowym ziarno zostaje rozarte między dwu walcami, obracającymi się ku sobie. Dawniej używano wyłącznie młynów żarnowych, dziś coraz bardziej wchodzi w użycie walcowe. Zależnie od dokładności odrobienia części składających młyn, ich szybkości i t. p., ziarno ulega mniej lub więcej dokładnemu roztarciu i daje mniej lub więcej delikatną mąkę.

Należy ją jednak zawsze oczyścić od otrębów, to jest od łuski i kielków. Do tego właśnie służą części gatunkujące czyli sortujące. Składają się one z odpowiednio urządzonych i umieszczonych pytl — długich rękawów z rzadkiej tkaniny, rozmaitych bębnow sitowych, lub wreszcie odśrodkowców czyli centryfug. Części te albo same znajdują się w szybkim ruchu albo też obracają się osadzone w nich skrzydła (jak w odśrodkowcach) i wskutek tego ruchu oddzielają i odrzucają na rozmaite strony cząsteczki większe i mniejsze, cięższe i lżejsze. W ten sposób zostają najpierw oddzielone otręby od mąki, która następnie znów wraca na młyn, ulega dokładniejszemu roztarciu i dostaje się na delikatniejsze pytle, które ją dalej sortują. Powtarzać się to może kilka razy aż do otrzymania mąki żądanej jakości.

Na ogół odróżniamy dwa główne gatunki mąki: razową, mieloną raz tylko i nie odsiewaną, tak, iż zawiera ona otręby, oraz pytlową, mieloną kilka razy i tyleż razy puszczaną przez pytle. Nie zawiera ona otrębów wcale i jest tem bardziej biała i czysta, im więcej razy była mielona i odsiewana. Odróżniają kilkanaście (do 13) gatunków mąki pytlowej, ale mo-

żna je sprowadzić do trzech głównych: najprzedniejszą i najbielszą, złożoną prawie z zupełnie czystej skrobii — otrzymuje się ze środkowych części ziarna; — średnią i wreszcie najgrubszą i najciemniejszą — z zewnętrznej warstwy jądra, która zawiera zawsze pewną ilość drzewnika, a więc jest trudniej strawna od tamtych lepszych gatunków.

Ale też za to trzeba dodać, że gatunki ciemne mąki są pożywniejsze od białych, a to dla tego, iż związki białkowe znajdują się głównie w zewnętrznej części jądra, środek zaś ich składa się prawie wyłącznie z samej skrobii. Najgrubsza i najciemniejsza mąka, jako otrzymana z zewnętrznych części ziarn, zawiera prawie dwa razy więcej związków białkowych, niż najprzedniejszy biały gatunek. Dla tego to chleb ciemny jest pożywniejszy niż bułka, ale jednocześnie i trudniej strawny z powodu zawartości drzewnika. Nadaje się on szczególnie dla ludzi pracujących fizycznie i przyzwyczajonych do takiego pokarmu.

Jeżeli przy mieleniu nie rozciera się ziarno na proszek, lecz jedynie rozbija się na mniejsze lub większe części, to otrzymujemy rozmaite kasze (krupy). Kasza historycznie jest starsza od mąki, łatwiej bowiem było rozdrobić ziarno na kilka części, niż rozetrzeć je na mąkę. A i dziś jest w powszechnym użyciu w całej Polsce, nie tylko u włościan, ale i w domach zamożniejszych. Nie należy jednak do potraw wykwintnych i chociaż Polacy mieli ją w poszanowaniu, jako produkt otrzymywany ze zboża (kasza — matka nasza), widocznie jednak już i dawniej ludzie o wybrednym smaku nie bardzo chętnie ją jedli, skoro oddawna istnieje przysłowie „kasza go w ząbki kole” na oznaczenie kogoś, co zdelikaciał i nie chce już jadać prostych potraw.

(d. c. n.)

PSIE POLE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY

przez

Włodzimierza Trąpczyńskiego.

(Dalszy ciąg).

Tym samym gościńcem, którym przed wieczorem toczyły się wozy królewskiego orszaku, pędzili teraz dwaj młodzi jeźdźcy ku Mogilnu i Kruszwicy. Zrazu nic nie stawało na przeszkodzie i królewicz pełen był otuchy, nie dojechali jednak nawet do Trzemesznej, gdy wiatr zerwał się nagle, a pierwsze, ciężkie krople deszczu upadły na spragnioną dżdżu ziemię. Wiatr świszczał, gnąc bezlitośnie galezie drzew przydrożnych, ciemność zapanowała naokół i tylko od czasu do czasu oślepiająca błyskawica przerzynała czarne niebo, a w ślad za nią huk piorunu lub pomruk groźny zapowiadał zbliżającą się z straszliwą szybkością burzę.

— Wstrzymajmy się lepiej i skręćmy konie, widziałem jakieś chaty w pobliżu przy świetle błyskawicy — rzekł Frac, galopujący ciągle obok swego pana.

— Niema czasu — oburknął się królewicz — drogę pamiętam doskonale i wiem, że lada chwilę wjechać musimy do lasu, a tam wśród liści gęstych deszcz mniej prażyć nas będzie.

Bolko nie domówił nawet tych słów, gdy zygzak spuścił się raptownie z chmur, a prawie równoczesny huk i trzask rozłupanego drzewa rozległ się tuż niemal przed jeźdźcami. Koń Bolka stanął dęba, ale ściągnięty wprawą ręką, osiadł znowu i tylko drzenie i parskanie świadczyło o wielkim lęku zwierzęcia. Koń Frąca uskoczył w bok i gnał przed siebie, a pomimo wysiłków nie dał się powstrzymać, przesadzał rowy i kopce, pokryty pianą pędził przed siebie na oślep.

— Do lasu, do lasu się kieruj! — wołał król-wicz za znikającym z oczu sługą, ale wiatr świstem swoim i deszcz gęsto spadający z chmur, zagłuszał jego słowa.

Nie było rady i Bolko stanął na gościńcu, siekany nie kroplami już, ale całemi strumieniami deszczu. W końcu przemoknięty do ostatniej nitki, król-wicz zdecydował się popędzić ku majaczącemu z oddali lasowi, a rozważał sobie przytem, że jeśli Frąc postyszał wołanie, to z pewnością zapanowawszy nad rozłukanym rumakiem, podaży również do lasu i tu zjadą się na gościńcu.

Rachuby te omyliły Bolka, napróżno też hukął, wołał, stanawszy u skraju wielkiego boru — Frąc nie odzywał się i nie przybywał ku niemu.

— Ha, cóż robić! do Gniezna nie zawrócę — pomyślał król-wicz — jeżeli bowiem dziś nie dokażę swego, to jutro przepadło wszystko. Pojadę zatem sam, a gdy burza ominie i niebo się wyjaśni, Frąc odszuka gościńiec i albo dogoni mnie jeszcze w drodze, albo też przybędzie za mną do Kruszwicy.

Ale i te oczekiwania miały się nie spełnić. Burza ustawała wprawdzie chwilami, lecz nowy powiew wiatru znów nowe gromadził chmury i deszcz a pioruny z kilkakrotnym nawrotem prażyły ziemię przez czas bardzo długi. Bolko, wjechawszy w bór gęsty, nie żałował koniowi zachęty, pędził też szybko, uginając się przed gałęziami, które raz po raz siekały go po twarzy, zdrapując skórę i raniąc dotkliwie. Im więcej piętrzyło się przeszkód, tem większa rodziła się w duszy późniejszego Krzywoustego zaciekość.

Król-wicz wiedział, że byle minąć bór nieprzejrany, droga do Kruszwicy otworzy się prosta i wygodna, jak gdyby strzelił. Ten las, zdawałoby się, ciągnął się w tym wypadku, jak gdyby w nieskończoność, a tu jeszcze koń, który z początku wyteżał siły i pędził szybko, teraz coraz więcej opadał, zwalniał biegu, robił nozdrzami i pomimo deszczu i chłodu parskał i puszczał pianę.

Nareszcie deszcz zaczął słabnąć, jeszcze tylko jeden silniejszy i gęstszy opad, a potem krople coraz mniejsze, coraz rzadsze i z poza rozwianych chmur błysnął księżyc, jak gdyby ostatniem spojrzeniem czułem chciał pożegnać ziemię przed oddaniem berła świetlanego słońcu. Nareszcie też i las rzadnieć zaczął i odetchnął zmęczony król-wicz, poczuwszy pewną ulgę.

Ta ulga trwała jednak krótko, za lasem bowiem, który był ostatnim kawałkiem piaszczystej ziemi trzemeszyńskiej, wjeżdżało się w ziemię bujnych, żyznych, urodzajnych Kujaw, a wiadomo, czem jest ziemia Kujawska. Chleba daje ona wszystkim, prawdziwie mlekiem i miodem płynąca kraina, ale nie daj Boże zapuszczać się w nią wtedy, gdy deszcz długotrwały rozmoczy czarną, jak smoła glebę. Bolko zapomniał o tem, zapomniał, że przed laty król a ojciec jego Władysław Herman zmuszony był w karocy spędzić noc całą, pomimo bowiem, że zakładano kilkanaście koni, nie można było ruszyć z miejsca i dopiero woły sprowadzone z okolicy, wydobyły z błota pojazd monarszy.

Król-wicz wjechał na ziemię kujawską, zmuszając ciągle dzielnego konia do szybkiego biegu, ujechał wszakże zaledwie kilka staj, gdy rumak się potknął i odtąd z trudem już wielkim nie kłusował nawet, ale grzął powyżej pętlic w rozmięklej i przylepiającej się do kopyt ziemi. Koń kilkakrotnie obejrzał się, jak gdyby prosząc o litość, ale król-wicz zbyt przejęty ważnością mającego się spełnić zadania, nie zwracał uwagi na wierchowca.

Słońce z wolna ukazywać się poczęło na zaróżowionem niebie, nastał świt, więc też niecierpliwość Bolka rosła, tem więcej, że pomimo nowych nawoływań, nie doleciał uszu jego odzew wiernego Frąca.

Koń potknął się po raz drugi i trzeci, wreszcie zagłębiwszy się w kałuży, upadł na przednie kolana. Wprawdzie król-wicz znów ściągnął cugle i postawił go na nogi, ale teraz spostrzegł, że ochraniać trzeba biedne zwierzę, robiące potężnie bokami.

— Niema rady — rzekł Bolko sam do siebie — chociaż Kruszwica już tak blisko, to jednak nie dojadę, gdy nie nakarmię, nie napoję i nie dam odpocząć wierchowcowi. Przytem i mnie również przyda się wysuszenie. Cóż jednak dzieje się z Frącem, czyżby zabłądził, lub może powrócił do Gniezna?

Myśłami temi opadowany, syn królewski wspiął się na strzemionach i rozejrzał się w około, szukając zagrody, do której możnaby się skierować. Nie długo potrzebował szukać, przy gościńcu bowiem, w niewielkim nawet oddaleniu bieliły się chaty. Bolko pogłaskał konia, objął go czule za szyję i rzekł:

— Jeszcze tylko kawałek, mój kochany towarzyszu, tam wypoczniesz, pokrzepisz się nieco — a rumak, jak gdyby zrozumiał te słowa, kiwnął wesoło kilkakrotnie głową i ruszył naprzód.

Bolko nie przynaglał teraz, jechał wolno, zdając się na wolę wierchowca i dotarł do pierwszej zagrody przy gościńcu. Zdawało mu się, że trafił dobrze, obejście bowiem całe przedstawiało się dostatnio, a kwiaty w ogródku, ule liczne i zabudowania obszerne świadczyły o zabiegliwości właściciela.

W zagrodzie cisza jeszcze panowała nocna, kiedy jednak król-wicz przybliżył się do wrót, złowrogie naszczekiwanie puszczonej wolno brytanów zbudziło mieszkańców.

— Skaranie boskie z tem budzeniem po nocy — mruknął parobek, śpiący w oborze w pobliżu wrót — nigdy jeszcze tego nie było, ażeby tyle razy otwierać po nocy.

Równocześnie zajrzał ktoś przez otwory w izbie i cofnął głowę, a po chwili słyszał Bolko, gdy człowiek starszy wydawał rozkazy:

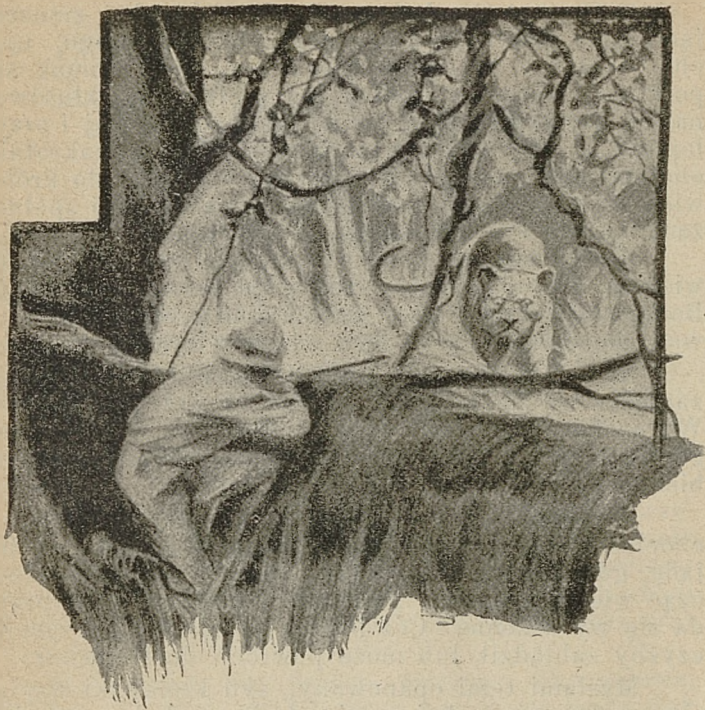
— Nie marudź a otwórz, burza była nielada, a obowiązek to przecież chrześcijański podróznego w dom przyjąć.

Skrzypnęły wrota i król-wicz wjechał na podwórze. Gospodarz, który nawet nie zdążył ogarnąć się porządnie, szeroko otworzył oczy, przetarł je kilkakrotnie ujrawszy i konia przedniego gatunku, i rząd bogaty, i strzemiona srebrzyste, i dery złotem tkane, i wreszcie młodzieńca w stroju, jakiego nie nosili nawet synowie rycerzy.

— Weź konia — krzyknął gospodarz na parobka — a ja zbudzę kobiety, niechaj wymietą izbę.

— Nie potrzeba tego wszystkiego — zawołał Bolko dobroliwie — konia sam oporządzić potrafię, byle tylko odpocząć trochę, dla wierchowca wiązkę siana i wody zdobyć, przesuszyc się nieco, to i dosyć, muszę jechać dalej.

(d. c. n.)



Celny strzał (Ze świnta)

Z wycieczek wakacyjnych po kraju.

Kazimierz i jego okolice.

(Dalszy ciąg).

Teraz postanowiliśmy udać się dla zwiedzenia ruin zamkowych. Ze względu zaś, że dla małych nóżek naszej Janusi byłby to trud za wielki, zaczęliśmy się rozglądać w okół, aby wyszukać kogoś, coby ją niósł podczas przebywania górzystej drogi. Bobo było ogromnie kontente, że w ten sposób przebędzie drogę, wtem po chwili zwraca się do matki i szepce z tajemniczą miną:

— Mamusiu, nie bierz dla Jani do niesienia tego, bo on taką dużą ma brodę, taki brudny jakby Janię pocałował, toby jej buzia spuchła.

Wrażenie dziecka było ze wszech miar rzetelne, gdyż przechodzień nie odznaczał się czystością. Jakaś pocziwa kobiecina o miłej powierzchowności wzięła dziecinę na rękę, mówiąc, że panienka jest leciuchna jak piórko i że ją z łatwością zaniesie.

Droga, jak tylko wydostać się na otwarte pole, staje się zaraz prześliczna, bez trudu, po niewielkiej pochyłości dostaliśmy się do stóp zamku, ale dostanie się do samych ruin staje się nieco trudniejsze, gdyż trzeba się wspinać na znaczną wyniosłość, zostawiliśmy więc dziecko pod opieką kobieciny i ciotki Wandzi, która niezmiernie wzięła i osłabiona nie mogła nam towarzyszyć, a sami zaczęliśmy się wspinać pod górę, niebawem też znaleźliśmy się na szczycie.

Widok stąd jest wprost olśniewający! Spoglądasz ze szczytu na kilka mil dokoła i widzisz krajobraz tak cudny, tak cudny, że aż przymrużasz oczy, niepewna, czy cię wzrok nie łudzi. Opisać tego nie można, słów na to niema, trzeba samemu widzieć. I nagle myśl twoja, jakby uskrzydłona, leci gdzieś daleko pod obłoki, marzysz o tych ludziach, których

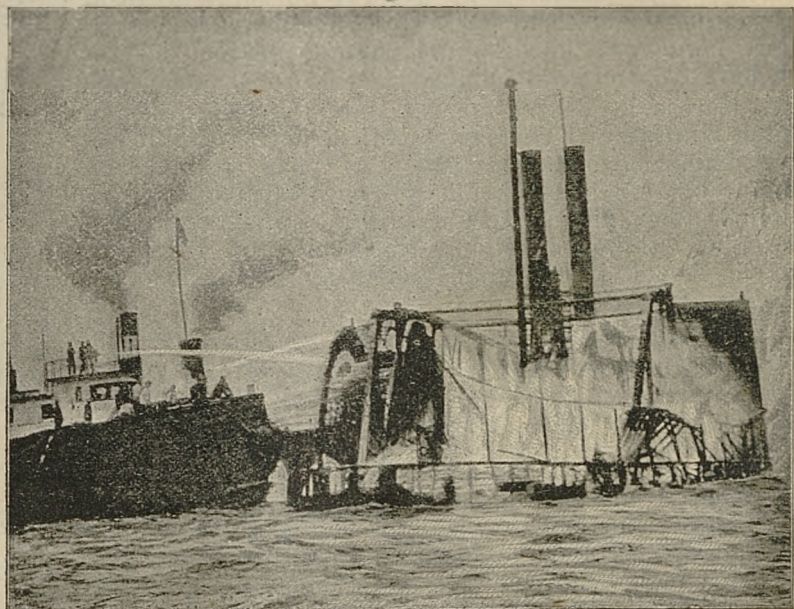
wzrok przed wiekami spoglądał na tę samą okolicę z okien zanku; stoisz tak zapatrzona, rozmarzona, i dusza twoja w ślad za myślą zdaje się rozpląwać w błękitach. Jest ci tak słodko, tak rzewnie razem, iż wydaje ci się, że mogłabyś tak stać wieczność całą i nie tylko patrzeć, patrzeć i patrzeć.... A tymczasem trzeba wracać. Odwracasz z wysiłkiem oczy od tego cudownego widoku, wzrok twój machinalnie pada na przeciwległy ułomek ściany, i oto nagle doznajesz wrażenia, jakgdybyś usłyszała „zgrzyt żelaza po szkle”: to do świadomości twojej doszło jakieś bardzo pospolite nazwisko, któremi zagwazdane są ściany ruin z wewnętrznej i zewnętrznej strony, od samiułkiego dołu aż tak wysoko, jak tylko ręką sięgnąć można.

Powiesz, że dziwaczka, kochana Marylko, ale nie uwierzysz, jaki to stanowi dysonans, gdy tak jak ja w tej chwili, mając rozkołysaną duszę wielkiem wrażeniem, niechętnie usłyszysz się niejako kilka tych nazwisk obcych ci i obojętnych zupełnie. Spojrzę: Baryłkiewicz stoi na murze wyryte głęboko szczyrykiem, ku wiecznemu upamiętnieniu imienia; odwracam oczy w przeciwną stronę: Trębikowski wycytuje znowu. Przypuszczam, że obaj właściciele tych nazwisk są młodzieńcy lub chłopcy bardzo zaci i porządni, ale co kogo to obchodzi, że oni zwiedzali te miejsca?

Gdybym miała prawo do podobnych zabytków przeszłości, kazałabym wkopać beczkę z umieszczoną na słupku tabliczką, na którejby była wyryta prośba, aby ci, którzy życzą sobie zostawić swoje nazwisko, zechcieli łaskawie wrzucić poniżej swój bilet wizytowy, lub kartkę wydartą z pugilaesu z napisaniem na niej imieniem; koby był ciekawy dowiedzieć się nazwiska zwiedzających ruiny, sięgnąłby tylko ręką i odczytałby tyle, ileby mu się podobało, a złomki murów przestałyby służyć za materiał biuletowy.

Schodziliśmy ze zwalisk z daleko większym trudem, aniżeliśmy się tutaj wdierali, szczególnie z wyniosłości, na której znajduje się część zwalisk bez baszty.

Na dole zastaliśmy naszą Janusię w ogromnej przyjaźni ze swoją zaimprovizowaną nianią i niezmiernie zajętą. Kobiecina nałamała jej patyczków, a malutka gosposia nasza ułożyła ognisko i, naobrywawszy poziomek, gotowała nam obiad w swo-



Pożar statku „General Slocum.”



Muzyka i śpiew.

ich dwojaczkach. — Bo to widzicie, moja kobietko, trzeba robić, trzeba pracować, tak mamusia mówi — prawiła z podniesionym w górę paluszką, tłona-
cząc swoją skrętność. — A tak, panienko — przy-
świadczała kobieta — trzeba pracować, bo próżnia-
kowi za darmo nikt jeść nie da.

Słońce miało się już ku zachodowi, musieliśmy
wracać. Janusia zabrała swoje dwojaczki z poziomka-
mi i niesiona na rękach pocziwej kobieciny, gwa-
rzyła z nią przez całą drogę, dziwiąc się niezmiernie,

dłaczego te jagódki, co rosną tutaj, są takie kwaśne,
kiedy te inne co w domu jadła, to bardzo słodkie.

Wracaliśmy wśród tych samych uroczych wido-
ków, podziwiając nadto zachód słońca, którego obraz,
odbijając się w falach Wisły, sprawiał wrażenie, jak-
gdyby rzeka lśniła płomieniem i purpurą. Późnym
wieczorem wróciliśmy do Nowo-Aleksandryi.

Jadąc, dopytujemy się woźnicy, jaki najporząd-
niejszy zajazd w miasteczku i czy dostaniemy wy-
godne pomieszczenie. Polecają nam hotel „Wiktorya”.

(d. c. n.)

MUZYKA I ŚPIEW.

Nad senną pól przestrzenią
Rozpina skrzydła świt...
Obłoczki się rumienia,
Daleki złotą szczyt;
W błękitach gwiazdy gasną,
Pod tchnieniem rannych zórz
I słońcu drogę jasną
Na wschodzie kreślą już...

Nie ciszy nie zamąca...
Łagodny jeno wiew
Czasami rośną strąca
Z kielichów, ziół i drzew.
Czasami tylko kwiecie
Rozchyli świeży płat,
A wietrzyk pyłek zmiecie
Z jedwabnych jego szat.

Świtowe drzemią cisze...
Śpi jeszcze ptaszka chór...
W badyłach się kołysze
Motyli białość piór.
Dwóch istot cień przemyka

Śród łąk i ziół i drzew:
Ta pierwsza — to Muzyka,
Ta druga zaś — to Śpiew!

Po rośnej idą łące,
Spowitej w mgławą dal, —
Powoi ramię pnące
Okrywa je jak szal...
Skąd idą te dziewice,
Odziane w jasną biel?
Promienne mają lice —
Ich drogi jakiż cel?

Ta jedna w lutnię trąca,
W srebrzystej lutni stał:
Melodya płynie drżąca,
Niesiona skrzydłem fal...
Tej drugiej pieśni watek
Koronę wita wzgórz,
Gdzie kona nocy szczątek
I słońce wstaje już...

O dziwo! Moc ich pieśni
Zwycięża martwy cień:

Już ziemia dłużej nie śni,
W promieniach wstaje dzień;
Pomknęła chyżo lania,
Na trawach znacząc ścieg,
Do źródła, co wydzwania
Swe szmery z brzegu w brzeg.

Ze snów się budzą kwiaty,
Zroszone srebrem łez, —
Przezyste aromaty
W daleki szerzą kres;
Oczęta drobne wznoszą
Do słońca złotych strzał
I poją się rozkoszą.
Że Bóg im dzień znów dał!

Świtowe łamie cisze
Skrzydlatej rzeszy rój;
Napełnia wnet komysze
Jej trylów płynny źródło...
Motyle barwne szlaki
W powietrzu kreślą wnet,
I skoczne kujawiaki
Wygrywa w polu flet!

Alfred Ludowski.



(Dalszy ciąg).

Doktor nie nie odpowiedział, tylko utkwiał oczy
w twarz Brinkera z prośbą, z błaganiem, z nakazem.
Lecz chory daremnie szukał w swej pamięci słów
wypowiedzianych przed laty dziesięciu.

— W pudełku od zegarka był jeszcze jakiś
przedmiot — wyrzekł; — ale chłopiec wyjął go, uca-
łował i zabrał z sobą.

— Była to zapewne miniatura jego matki — od-
parł doktor. — Mój syn był jeszcze małym dzieckiem,
kiedy matka jego umarła. — Nie — dodał po chwili —

mój syn żyje, to być nie może aby i on umarł. Po-
słuchajcie; mój syn był zarazem moim uczniem. Ka-
załem mu raz przygotować lekarstwo dla chorego;
chłopiec omylił się i przygotował truciznę; na szczę-
ście spostrzegłem omyłkę, w chwili podawania lekar-
stwa; całą noc spędziłem przy chorym, ale uratowa-
go nie zdołałem. Wczesnym rankiem tego dnia syn
mój wszedł do laboratorium i sam spostrzegł, jak
straszną popełnił omyłkę poprzedniego wieczoru. Mój
służący oznajmił mu nadto, że chory umiera. Wtedy
przerażony mimowolnem zabójstwem uciekł z domu
i przepadł bez wieści. Przeklinałem syna — mówił
doktor dalej — za jego ucieczkę, a on, biedak sądził,
że nie chce o nim nic wiedzieć, że go na zawsze
opuściłem.

— Ach! — westchnęła pani Brinkerowa — teraz
rozumiem, co syn pana mówił do mojego męża; że
mimowoli popełnił zbrodnię, sądził bowiem, że otrul
chorego.

— Panie — szepnął znów Janek — ja odnajdę
ci syna.

— Niech ci Bóg błogosławi, moje dziecko —
rzekł Bockman, kładąc mu rękę na głowie.

— Dzięki wam, trafiłem nareszcie na ślad mego Laurentego. O! Brinkerze, gdybyś jeszcze ten adres mógł sobie przypomnieć! Chociaż... po dziesięciu latach stracił pewno nadzieję, abym do niego napisał...

— Czas już odejść, chorzy na mnie czekają. Wam już na szczęście jestem niepotrzebny.

Wyszedł z chaty, żegnany błogosławieństwami rodziny; nawet małą Hanię pogłaskał po głowie.

Janek odprowadził doktora do powozu.

— Panie doktorze, jestem każdej chwili na usługę pana.

— Dziękuję ci, moje dziecko; powiedz rodzicom, aby nikomu tej sprawy nie opowiadali. Tymczasem zwracaj uwagę na ojca — może sobie przypomni...

— Będę uważał panie doktorze.

Bockman wskoczył do karety.

— Bogu dzięki — pomyślał Janek. — doktor dzisiaj odmłodził i zmieł jak wosk na ogniu.

XIX.

Wyścigi.

Nadszedł nareszcie oczekiwany dzień wyścigów. Wspaniałe słońce złośliło krajobraz. Próbowало swej władzy na kanałach, rzekach i jeziorach, ale lód odrzucał jego promienie i ani myślał tajać. Ani jeden podmuch nie zamącał powietrza; chorągiewki na dachach stały nieruchome, wiatraki odpoczywały.

To też młynarze jeszcze przed południem świętecznie ubrani, poszli nad kanał, aby przyrządzić się wyścigom. Powoli tłum zalegał brzegi; mężczyźni, kobiety, dzieci, kto żył, śpieszył nad kanał.

Na tor wyścigowy wybrano wielką przestrzeń lodową, zwaną w Holandyi „Okciem,” która leżała między Brokiem a Amsterdamem. Mieszkańcy miast stanęli wśród miejscowej publiczności, cudzoziemcy także tu pośpieszyli, aby przyrządzić się ubiorom i zwyczajom holenderskim.

Można tu było zobaczyć bogatych ludzi, wystrojonych według ostatniej mody i gromady biednych dzieci, ubranych w mundurki licznych przytułków amsterdamskich; dziewczynki miały suknie białe z czarnem; chłopcy z miejskiego zakładu dla sierot, ubrani czerwone z czarnem, co im nadawało pozór arlekinów. Tu i owdzie błyszczały czepce ze złotogłowi flamandzkich wieśniaczek; inne znów miały na głowie wielkie kapelusze, z pod których widać było po bokach głowy dwa duże medale czy blachy ze srebra lub złota, pięknie cyzelowane. Nie jedna miała na nogach drewniane saboty, spódnice z grubego sukna a na głowie półksiężyc z prawdziwego złota z krótkim welonem, stułetniej, niezmiernie cennej koronki. Dziewczęta fryzyjskie odznaczały się bogatemi złotymi kolczykami, choć nosiły też klejnoty z miedzi lub tombaku. Ale czasami przystrojenie głowy wiejskiej dziewczyny przedstawiało wartość kilkuset florenów.

Rzekłbyś, że ciekawe kostiumy, które tak bawią cudzoziemców na obrazach szkoły holenderskiej, zeszły się tutaj w komplecie. Obok dziewcząt z twarzami ożywionymi, kroczyli poważni ich bracia i krewni; wyraz ich twarzy nie zmieniał się ani na chwilę, od świtu do zachodu słońca. Byli to rolnicy, drobni handlarze, rzemieślnicy, a każdy miał z sobą fajkę i worek z tytuniem.

Każdy prawy Holender żyć nie może bez fajki; zdarza mu się nie odetchnąć w porę ze zdziwienia, ale tylko śmiertelnie chory człowiek o fajce zapomni. To też chmury dymu wznosiły się na wszystkie strony.

Popatrzmy na dziewczęta i chłopców, stojących na szczudłach. Tym nikt widoku wyścigów nie zasłoni.

Czytamy też nieraz, że mieszkańcy Holandyi są milczący — jest to w ogóle prawda, ale dzisiaj, w chwili zabawy, odpoczynku, rzecz przedstawia się inaczej. Gwar tu panuje; konie rżą, muzycanci próbują instrumentów.

Biedny karzelek, który tak zręcznie uwija się wśród tłumy, powiększa hałas swym głosem piskliwym: „fajki i tytuń! fajki i tytuń!” — woła nieustannie, pokazując swój towar.

Brat karzelka zachwala znów swoje cukierki, w kształcie orzeszków; namawia dzieci, aby korzystały z jego zapasów, dopóki nie znikną.

W wielkim pawilonie zgromadziły się osoby znane już naszym czytelnikom. Środkowe miejsce, w pierwszym rzędzie zajmuje pani van Gleck; koło niej zgromadzona cała rodzina. Obok niej stoi jego-ność, podobny do św. Mikołaja, brody mu tylko brakuje.

W drugim pawilonie zebrała się rodzina van Holpów, wraz z państwem van Gond z Hagi. Siostra Piotra przywiozła z sobą wiązanek ślicznych kwiatów dla osób, biorących udział w wyścigach. Wiele innych pawilonów wzniesiono tu dzisiaj zaraz po wschodzie słońca. Świadczą one o dobrym guście Holendrów.

Dwa białe sztandary połączone draperyą ponsonową oznaczają początek wyścigowego toru, o parę kilometrów dalej także sztandary oznaczają jego granicę.

Odzywa się orkiestra. Zbliża się chwila stanowcza. Bohaterowie dnia stoją skupieni w gromadkę. Dwadzieścia panienek i dwudziestu chłopców ścigać się będą.

Niektórzy przymocowują jeszcze łyżwy a niepewność widna na ich twarzach. Większość wszakże śmieje się z całą ufnością. Ben zadziwia publiczność swoją siłą i zręcznością. Rzuca rękawiczkę daleko i zajęczym susem już ją podnosi. Pędząc z błyskawiczną szybkością, zdejmując czapkę z głowy Poota i nakłada ją w mgnieniu oka. Dają mu brawo, a Poot klaszcze najgłośniej! Benie, te wszystkie sztuki nie zapewnią ci jeszcze nagrody w ojczyźnie łyżwiarzy!

Janek na nowych łyżwach stoi trochę na uboju; mała wróżka Andzia, nie umiała kłamać i ulegając prośbom i pytaniom Janka, wyznała wreszcie, że to ona sama nabyła jego łyżwy. Ale Janek był teraz bogaty, więc odkupił swoje łyżwy, ale wielką wdzięczność zachował dla Andzi za jej dobre serce.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Nowi biskupi. Na miejscu dotychczasowego biskupa Płockiego, Jerzego hr. Szembeka, który został arcybiskupem mohylowskim z rezydencją w Petersburgu, zasiadzie na tej starożytnej stolicy biskupiej J. E. ks. Apolinary Wnukowski, regens seminarium w Żytomierzu, urodzony w 1848 roku. Biskupem Saratowskim nominował papież J. E. ks. Józefa Kesslera.

Pożar okrętu z dziećmi. Przeszło tysiąc ofiar narachowano w strasznej katastrofie na East River, pod Nowym Yorkiem. W dn. 15 czerwca spłonął tam okręt spacerowy „General Slocum”, który wiozł na swoim pokładzie 2500 spacerowiczów, przeważnie kobiet i dzieci z gminy niemieckiej i szkoły niedzielnej luteranńskiej św. Marka w Nowym Yorku.

Do godz. 9-ej zrana na pokładzie parowca szło wszystko dobrze. Ogień wybuchł dość wcześnie, według jednej wersji w kuchni, według drugiej w kajucie, gdzie ktoś na maszynie spirytusowej gotował sobie jajka. Przez dłuższy czas nie zauważono płomieni; dopiero jedna z dziewczyn, niejaka Lili Sturr, odezwała się na cały głos do matki:

— Nie, mamo, nie mogę być spokojna. Naprawdę się pali.

Słowa te dziecka stały się sygnałem alarmującym i wywołały popłoch. Nieopisany strach zapanował na parowcu, gdy z pod pokładu buchnęły już płomienie. Tłoczono się, spychano do wody, deptano po leżących dzieciach. W popłochu stracono głowę i nie usiłowano nawet gasić płomieni.

Popłoch był tem większy, że na parowcu znajdowały się przeważnie kobiety i dzieci; mężczyźni, którzyby mogli zorganizować jakiś prawidłowy ratunek, było zaledwie stu. Zarzucając kapitanowi okrętu, że nie sprowadził parowca na zatopioną łakę, z której możnaby się było ratować na ląd. Widocznie jednak i sam kapitan stracił przytomność. Jak zresztą sam opowiada, skierował parowiec do brzegu i w odległości 50 stóp od brzegu, oparzony przez płomienie, wskoczył do wody i ocalał.

Tymczasem na pokładzie rozległy się rozpaczliwe sygnały syreny, mieszając się z przeraźliwym wszakiem i jękiem ofiar. Matki biegały na wszystkie strony, poszukując dzieci i rzucając je do wody, przywiązawszy uprzednio do desek lub mebli. Niestety, wszystkie dzieci potonęły.

Jeszcze straszniejsze sceny działy się pod pokładem. Tutaj dzieci i kobiety dusiły się w kłębach dymu.

Ratunek z brzegu był niezmiernie utrudniony, jakkolwiek na wzywające sygnały pośpieszyło sporo parowców i łodzi. Parowce zaczęły przede wszystkim gasić ogień sikawkami, gdyż do płonącego „Generała Slocum” nie można się było zbliżyć bez narażenia własnego statku na pożar nieunikniony. Jeden tylko właściciel łodzi prywatnej, p. James Owen, manewrując zręcznie wśród płomieni, zdołał sześć razy dotrzeć do statku i uratował 20 osób.

Dziś całe miasto pogrążone w żałobie. Są rodziny, które utraciły matkę i wszystkie dzieci; pozostali tylko ojcowie. W jednej rodzinie zginęło 17 osób.

Dzienniki amerykańskie podają, że na parowcu znajdowało się podobno 2,000 przyrządów ratunkowych, ale żaden nie znalazł się w miejscu dostępnym. Prasa amerykańska oburzona jest tem niedbalstwem i brakiem przytomności umysłu u załogi okrętowej.

Z życia Stanleya. Celny strzał. Pisaliśmy niedawno o tym słynnym podróżniku afrykańskim, który obok wad, jak zbytnia surowość i okrucieństwo dla ludów dzikich, odznaczał się także wielkimi zaletami charakteru: energią, wytrwałością i nadzwyczajną przytomnością umysłu. Raz w głębi puszczy dziewiczej, przedzierając się przez gąszcze — napotkał oddział Stanleya gniewną lwicę. Czarni pierchli natychmiast, lecz Stanley nie tracąc ani chwili i przykleknąwszy za zwalonem drzewem, celnym strzałem ze sztucera

śmiertelnie ugodził straszne zwierzę. Druga lufa była wystrzelona, gdyby więc strzał nie był śmiertelny — prawdopodobnie padłby ofiarą rozjątrzonej lwicy.

SZARADA.

ul. Leśna Konwalia.

*Pierwsze to imię własne, a drugie i trzecie
Określa, co pod onem imieniem znajdziesz.
Wszystko drobna jagoda, nie każdy ją jada,
Bo twierdzi, że zamało słodczy posiada.*

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

ul. Świetlana dla Heli G.

1)	a	a	a	d	d	d	d	d
2)	e	e	e	e	e	i	i	
3)	l	l	m	m	n	n		
4)	o	o	o	o	o			Litery umieszczone na
5)	p	p	r	r				tych polach należy w ten
6)	s	t						sposób poprzestawiać, aby litery
7)	u	y						początkowe ułożyły nazwę miasta we
8)	y							Włoszech. Znaczenie wyrazów: 1) Nazwa za-

dana miasta we Włoszech. 2) Jedna z muz. 3) Gra towarzyska. 4) Dawna nazwa stolicy Japonii. 5) Rzeka w Niemczech. 6) Zwierzę ssące. 7) Francuska miara powierzchni. 8) Spółgłoska.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 26-go.

Zagadki: *Wakacje* — akacje — akcy — Waka — kawa — Ewa.

Figla: Bez nawrotu, bo gdyby nie nawrócił, toby do domu nie mógł przyjechać.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Z wakacyjnych czasów, Połów ryb (ryc.) — Nasze rośliny uprawne, przez B. Dyakowskiego. — Psie pole, powieść Włodzimierza Trąpczyńskiego. — Z wycieczek wakacyjnych po kraju. — Celny strzał (z ryc.) — Muzyka i śpiew, wiersz przez Alfreda Ludowskiego (z ryc.) — Srebrne łyżwy, przekład A. M. — Ze świata. — Łamigłówki i rozwiązania. — **Dodatek:** Dary, przekł. M. G. (z ryc.) — Kogo wolał zajacek? — Wakacje, wiersz przez Zofię Mrozowicką. — Moje opowiadania, przez Zofię Bukowiecką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Sewerka, powieść przez W. Marrene-Morzkowską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 28 Іюня 1904 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka 15.

ID A R Y.

przełożyła z angielskiego
M. G.

(Dalszy ciąg).

Nie wiem, w jaki sposób chłopak spuścił się na dół, ale to wiem, że nie zdążył do wózka majstra i dostał za swoje, gdy wreszcie pojawił się w domu. Żal mi go, ale co prawda dobrze, że się nauczył, iż uczciwy chłopiec w bójce nie powinien kopać, ani rzucać się na mniejszego od siebie. Naturalnie nawarzył sobie jeszcze lepszego piwa opowiadaniem o chłopcu, którego obił, a który „zmienił się potem w olbrzyma wielkiego jak kościół,” bo nikt takiej bajce nie uwierzył. Dopiero nazajutrz uwierzyli wszyscy — ale to już nie wiele pomogło piekarczykowi...

Robert powróciwszy do swoich, zastał ich w ogrodzie. Antea przezornie uprosiła Martę o podanie obiadu do ogrodu, ponieważ jadalny pokój był nieduży i trudno byłoby pomieścić w nim braciszka tego wzrostu co Robert. Jagniątko, które przespało cały ten burzliwy poranek, kichało mocno i Marta uważała, że ma katar i że lepiej mu będzie w domu.

— I to dobrze się stało — zauważył Cyryl — bo wątpię, żeby można było powstrzymać Jagnię od krzyku, gdyby zobaczyło Roberta tak przerażającego wzrostu!

Robert był rzeczywiście tak wielki, że mógł z łatwością przekroczyć żelazne sztachety i wejść prosto do ogrodu przed domem.

Marta podała obiad: — zimną cielęcinę z pieczonemi kartoflami, puding z sago i kompot ze śliwek na zakończenie.

Nie zauważyła wcale, rozumie się, że Robert jest niezwykle wzrostu, więc dała mu tyle cielęciny i kartofli co zazwyczaj, ani trochę więcej. Nie możecie sobie wyobrazić, jak to jest mało, gdy się jest cztery razy większym niż zwykle. Robert jęczał i prosił o więcej chleba. Spieszyła się bardzo, bo leśniczy miał wstąpić po drodze na jarmark, więc pragnęła być pięknie wystrojona na jego przyjęcie.

— Chciałbym także pójść na jarmark — powiedział Robert.

— Nie możesz nigdzie pokazać się z takim wzrostem — zrobił uwagę Cyryl.

— Czemu nie? — nalegał Robert. — Na jarmarkach pokazują olbrzymów dużo większych ode mnie.

— Myślę, żechyba nie większych — zaczął Cyryl.

Ale mu przerwała Kizia, wykrzyknawszy tak nagle: Ach! że wszyscy zaczęli ją uderzać w plecy sądząc, że udławiła się pestką od śliwki.

— Nie! — zawołała, zadyszana od uderzeń w plecy. — To nie pestka! Przyszło mi coś na myśl... Weźmy Roberta na jarmark i pokazujmy go za pieniądze! A tym sposobem będziemy mieli jakiś zysk z piaskoluda — choć ten jeden raz!

— Wziąć mnie? doprawdy? — zawołał z oburzeniem Robert. — To mi się podoba!

I odwrócił się z gniewem. Pomysł Kizi podobał się wszystkim z wyjątkiem Roberta, ale i on dał się przekonać obietnicą Antei, że zabierze połowę pieniędzy, jakie uda im się zebrać. W wozowni był stary wózek na kucyka — mały, koszykowy, na dwóch kołach. Ponieważ było im pilno jechać na jarmark jak najprędzej, Robert, który mógł stawiać olbrzymie kroki i biedz prędko, zgodził się powieźć rodzeństwo. Było to dla niego równie łatwe, jak zwykle wozienie Jagnięcia w jego wózku. Ale, że Jagnię było zakatarzone, więc nie wzięli go z sobą na jarmark.



Dziwne to uczucie, jechać wózkiem ciągniętym przez olbrzyma! Podróż zachwyciła wszystkich z wyjątkiem Roberta i ludzi spotykanych na drodze, którzy stawali jakby zamienieni w kamień na miejscu. Pod samym miasteczkiem Robert ukrył się w szopie z sianem, a dzieci poszły na jarmark.

Były tam huśtawki, karuzele, muzyka, strzelnica i orzechy kokosowe do wygrania. Cyryl oparłszy się mężnie pokusom — nie potrzebując niczego — poszedł prosto do kobiety, wynajmującej fuzyjki, a siedzącej w płóciennym namiocie przed rzędem porozwieszanych na sznurze butelek.

— Proszę bardzo kawalera! — zapraszała kobieta. — Strzał za pensa!

— Dziękuję pani — odrzekł Cyryl. — Przyszliśmy tu w interesie, nie dla zabawy. Gdzie jest właściciel?

— Kto taki?

— Właściciel, no! dyrektor tego zakładu?

— Tam leży — objaśniła kobieta, wskazując na człowieka w płóciennym bluzie wysypiającego się w słońcu. Ale nie radzę budzić go. Ma w tej porze bardzo zły humor. Lepiej trochę postrzelać, czekając aż się obudzi.

— Kiedy to ważna sprawa — tłumaczył Cyryl. — Idzie tu o znaczne zyski. Myślę, że żałowałby bardzo, gdyby go to ominęło...

— O! jeżeli idzie o pieniądze... — odpowiedziała kobieta. — Tylko bez zawracania głowy... Cóż to takiego?

— Jest tu olbrzym...

— Zawracanie głowy!

— Niech pani pójdzie i zobaczy — odezwała się Antea.

Kobieta przyglądała się dzieciom podejrzliwie, a potem zawołała obdartą dziewczynkę w podartych pończochach i brudnej białej spódnicy, wysuwając się z pod ciemnej sukienki, oddawszy jej pod opiekę całą „strzelnicę”, zwróciła się do Antei i powiedziała:

— No! jazda! ale jeżeli to próżne zawracanie głowy, lepiej powiedzieć odrazu. Ja sama jestem miękka jak masło, ale mój Bill to istna zapałka i...

(d. c. n.)

Kogo wołał zajaczek?

Lucyś i Basia o mało co się o to nie posprzeczały.

Basia tuliła zajaczka na kolanach, głaskała, pieściła i całowała delikatnie między uszka, żeby zajaczek nie tęsknił za swoją mamusią — Lucyś wyprawiał z nim różne skoki i figle, wsadził go w stary, połamany cylinder dziadzi, żeby mu było śmiesznie, bo przecież zajaczek, kiedy sam ciągle skacze, najlepiej musi lubić, gdy mu wesoło.

— On mnie woli! mnie! — wołała Basia — widzisz, jak u mnie na rękę wciąż rusza pyszczkiem i wąsikami, jakby mnie koniecznie chciał pocałować! O, moje ty złoto!

— Kiedy powiadam ci, że mnie woli! zajaczki lubią figlować. A potem, ja jestem mężczyzną, mogę pójść na polowanie — zajaczek to doskonale rozumie, że my się ze sobą bawić możemy!

— A cóż to dla niego za zabawa, jeżeli ty pójdziesz na polowanie i spłoszysz fuzyą wszystkie zające — bo nie trafisz pewnie żadnego!

— Żebyś wiedziała, że trafię i jak zechcę to wszystkie powystrzelam, tylko nie tego jednego, bo ten jest nasz, i on mnie woli!

— Dla czego ciebie? Kiedy od dziesięciu dni, jak jest u nas, ja mu zawsze daję kapuszkę i koniczynekę i wodę do picia, i on mnie już zna i kocha.

— Ale ja mu odstąpiłem na łóżko moją starą skrzynkę od kręgli i noszę go na spacer w kapeluszu i wiem, że on mnie woli.

Przechodził właśnie ścieżką stary Jacenty, ogrodnik i słyszał tę rozmowę.

— To to dzieci sprzeczą się o tego zajacę, co go kosiarze przed dziesięciu dniami z pola przynieśli? Ja dzieciom poradzę, jak poznać kogo woli... I stary sługa uśmiechnął się filuternie pod wąsem.

— Mój Jacenty! mój serdeczny! powiedzcie! niech już raz tak, albo tak, wiemy — to przyjemniej! — wołały dzieci na wyścigi.

— No, to chodźcie ze mną na tę łączkę za ogrodem, co to aż do lasu dochodzi. A nazwaliście już jakoś, swego zajacę?

— A naturalnie — wykrzyknęły dzieci. — Ja go nazywam „Szarus” — — rzekła Basia. — A ja „Skoczus!” — wołał tryumfalnie Lucynek.

— No, więc tak zrobimy: staniecie sobie jedno na jednym, drugie na drugim skraju łączki od ogrodu, a ja z zajacem pośrodku: jak go puszcze, zacznijcie wołać: Szarus! Skoczus! a zobaczymy, do kogo przybiegnie!

— Dobrze, dobrze! — wołały uszczęśliwione dzieci.

Ledwie dzieci ustawiły się na obu stronach łączki, ledwie Jacenty puścił zajacę, a one zawołały Szarus! Skoczus! aż tu zajaczek, hyc! hyc! smyk! hyc, sady w najdłuższych susach, prościutką drogą — ku lasowi.

Dzieci wytrzeszczyły oczy, zaniepokojone czegoś i niepewne — darmo wołają „Szarus” i „Skoczus” na jaknajczulsze tony, zajaczek ani uchem strzygnie w tę stronę.

Nareszcie mignął jeszcze na skraju lasu i przepadł. Teraz dopiero dzieci zrozumiały naprawdę, co się stało... Uciekł nam zajaczek, uciekł! Jacenty, coście wy nam zrobili?

— Albo to ja zrobił, paniczku i panienko? to zajęć wybrał, co woli! przecieście mówili, że już raz chcecie wiedzieć, kogo woli? a on woli swoich braci i siostrzyczki w lesie — czy mu się możecie dziwić? Oj, dzieci! wam się zdaje, że jak zajęcowi dacie to, co wam się podoba i wam miłe, to już i jemu dobrze być musi? A takie nieme stworzenie ma przecież swoją naturę, swoje potrzeby i uciechy, których tylko na swobodzie zażyć może! Aż żal patrzeć, jak się takie biedactwo męczy w niewoli — jeszcze że człowiekowi, co sam na sobie niewoli poprostu i pamięta!... — No, nie gniewajcie się na starego Jacentego — chodźcie do inspektów, na truskawki.

I dobre dzieci, choć im bardzo żal było zajaczka, nie pogriewowały się na starego sługę, bo rozumiały prawdę jego słów, i przypominały sobie.

co dziadzio opowiadał o czasach, kiedy to razem z Jacentym wojowali, a potem razem długo byli w niewoli.



Wakacye!

Na wakacye pojechałem,
Do mojej matysi!
Och, jakże mi żal każdego
Co tu zostać musi!

Na wsi ogród, las i rzeka,
W polu złote kłosy;
Na ligawce gdzieś z daleka
Gra pastuszek bosy.

W sadzie wiśnie i maliny,
W stajni konik nęci —
Jak sen zbiegną mi godziny,
Każda wedle chęci!

Niech się święci pora złota
Wakacyi i żniwa!
Byle zdrowie i ochota
Uciech mi nie zbywa!

Lecz im lepiej sam się bawię,
Tem częściej też myślę
O kolegach, których tyłu
Nikt na wieś nie wysle!

Gdyby się to zrobić dało,
Jakbym był szczęśliwy —
Wszystkich, ilu ich zostało,
Wywieźć w nasze niwy!

Wszystkim, wszystkim bym pokazał
Piękność naszej ziemi:
Niechajby ją pokochali
Oj, siły wszystkimi!

Niechby zdrowia im dodały
Nasze wonne lasy:
By rósł zastęp krzepki, śmiały
Z całej naszej klasy!

Zofia Mrozowicka.

Zofia Bukowiecka.

MOJE OPOWIADANIA.

(Dalszy ciąg.)

Ojca nam trzeba, pana nam trzeba, Piast tylko mógłby nas ocalić — szeptali do siebie rycerze, którzy zdołali wynieść życie z pogromu. Boleli oni srodze nad pohańbieniem, znoszonem od własnych niewolników.

— Będziemyż dłużej cierpieć krzywdy, pozwolimy Czechom najeżdżać kraj!

— Damyż upaść wierze świętej i ojcowiznie! — mówiono coraz głośniejszymi głosami.

— Do Niemiec jedźmy, sprowadźmy Piasta, on dziadowski Szczerbem wypędzi nieprzyjaciół, przywróci ład.

Po Piasta, po królewicza Kazimierza jedźmy! Do mnie, kto w Boga wierzy! — krzyknął najśmielszy z wojaków i wnet kupa starych towarzyszy Chrobrego stanęła obok pierwszego zucha.

Drgnęła ziemia od rycerskich głosów, jak drży na wiosnę, kiedy czuje, że ma się odrodzić po śniegach i lodach zimy. Drgnęły serca w tłumach, gdyż budziło się w nich sumienie.

— Odstąpiliśmy pana krwi naszej — mówili zawstydzeni kmiecie.

— Dwoje zostało piskląt w Piastowem gnieździe, dopuściliśmy, aby zabito jedno, a porwano drugie — narzekali osadnicy.

— Odbierzmy pisklę, sprowadźmy Kazimierza Piasta! Na koń, na koń! — wołali rycerze i nie bacząc na pogroźki pogan, na zemstę Masława, ruszyli gromadą do Niemiec.

Idźmy i my tam za nimi.

Któż to ten piękny, szlachetny młodzieniec? Oparł głowę o zakratowane okno Benedyktynskiego klasztoru, a przy nim matka wdowa królewską koronę, berło i Szczerbiec Chrobrego do skrzyni chowa. Takie drogie sercu pamiątki miałyby zostać tu, wśród Niemców?

Młodzieniec patrzy na wschód, smutne oczy posłał do kraju, gdzie słodko wonieją lipy, gdzie orły wiją gniazda na skałach, a pracowite pszczoły miód do ulów zbierają.

Słyszysz od matki, że źli ludzie rozbili gniazdo, zburzyli ul, a on nie może lecieć na pomoc dziedzictwu Chrobrego, bo zamknięto go w klasztorze i przeznaczono do służby Bożej.

Służba Boża! a czyż nie służyli Bogu wszyscy Piastowicze! toż chrzcili ludy swoje i obce, nieśli ewangelią poganom, uczyli ich miłować Chrystusa. On też pragnie całą duszą służyć swemu Stwórcy, ale służyć tam nad Wisłą i Wartą. Leciałby ptakiem do ziemi ojców swych i dziadów, bo burzy się w nim krew. To nieodrodny Piast, odpędzi rabusiów pogan, przywróci ład, odbuduje zburzone świątynie.

Tak rozmyślał młody Kazimierz. Był jak ptak zamknięty w klatce, serce jego nie mogło przylgnąć do klasztornych murów, burzyła się w prawym wnieku bujna krew Chrobrego.

Wtem zadudniała droga odgłosem kopyt końskich, gromada rycerzy wjechała na podwórzec klasztorny. Dojrzeli młodzieńca, poznali Kazimierza, wyciągnęli do niego ręce.

— Ty nasz! — wołały zdyszane piersi wojaków, którzy dzień i noc pędzili do Niemiec po ukochane pisklę Piastowe.

(d. c. n.)

Zagadki wprost i wspak.

uł. Aes dla Czytelników „Wieczorów.”

I.

Wprost wspólna nazwa żelaza i złota,
Wspak do nauki mała jest ochota.

II.

Wprost to stworzenie,
 Tarcza je ochrania,
Wspak jest rozkazem
 Przedmiotu schowania.

III.

Wprost — nasyp ziemny ponad rzeki brzegiem,
Wspak dużo w klasie widzicie szeregami.

Zadania na rozsypane litery:

uł. Przyszły Matematyk.

Z następujących 64 liter: a, b, c, c, c, c, c, d, e, e, e, e, e, e, e, h, i, i, i, i, i, i, i, j, k, k, l, l, m, m, m, m, n, n, n, n, n, o, o, o, o, o, o, o, o, o, ó, p, s, s, s, s, u, w, w, w, y, z, z, z. — Ułożyć należy przysłowie o szkole.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 26-go.

Zadania konikowe: Kocień garnkowi przygania,
 a sam smoli.

Zagadki ludowej: Sosna.

Skrzynka do listów.

„Pełno tu, a jak gdyby nikogo nie było” — mimowoli nasuwają mi się te słowa z trenów Jana Kochanowskiego, te słowa zbolalego ojca, tak zrozumiałe dla każdego, co jest pod wrażeniem straty ukochanej osoby. Otrzymałam wiadomość o śmierci „Kochającego Serduszka”, jednej z najmilszych moich korespondentek, a choć mam was tyle, równie miłych i drogich memu sercu, na razie czuję jakąś dziwną pustkę. A cóż jest mój smutek w porównaniu z boleścią rodziców tej drogiej dziewczeczki i twoim, **Helasku**, siostrzyczko ś. p. Lusi! Dziękuję ci, że spełniłaś jej życzenie i powtórzyłaś mi w liście ostatnie słowa, które ona do Jaskółki zwróciła przed operacją. Takie słowa to dla mnie nagroda i zachęta, to mi daje ufność, że zjednywam wasze młode dusze i przyczyniam się do tego, by rozkwitały, jak piękne, czyste kwiaty. Dziękuję ci, **Helasku**, i za obrazek pamiątkowy po Lusi. Za całą waszą rodzinę, tak boleśnie dotkniętą, serdecznie i gorąco modlić się będę.

Tak mnie zasmuciła śmierć „Kochającego Serduszka”, otrzymana przed samym moim wyjazdem z Warszawy, że nie mogę wam, pisklęta moje, których listy jeszcze tu mnie doszły, — tak odpisać, jak zamierzałam.

A oto mam trzy listy od naszych korespondentów: **Szpak**, **Laszki**, którą będę nazywała Laszką III i **Sultanki**. Szpak to już poważny 5-o klasista; że pono Szpaki z Jaskółkami w świecie ptasiem żyją w zgodzie i przyjaźni, więc i my zaprzyjaźnimy się, skoro więcej o sobie nadeślesz wiadomości. Józia i Janinę pragnęłabym także poznać z ich listów, a małą Zosię, która tylko drzeć umie „Wieczory” ścisłam. Zawsze to dowód, że się nimi zajmuje. Życzę wam wesołych wakacji i czekam dalszych listów z pięknej waszej ziemi.

Odczuwam w tobie poetyczną duszę, **Laszko III**, a pierwsza nagroda przy przejściu do 5-ej klasy świadczy

o twoich zdolnościach i pilności. Byś je rozwinęła i użyła jak najlepiej i najpożyteczniej. Dzięuję się, że zapytujesz, czy chcę z tobą prowadzić listowną rozmowę? Naturalnie, i obiecuję sobie wiele przyjemności twoich listów. Mam nadzieję, że twoja obecna towarzyszkę wkrótce oswoi się z obcym krajem, od ciebie zaś zależy, żeby tu jej nie było źle i gorzko. Czy staniesz do konkursu na wypracowanie, możesz wybrać któryś z tematów, np. 3-i iierszem napisać, skoro masz talent.

Aż dwa lata zbierałaś się dumna **Sultanko**, żeby napisać do skromnej Jaskółki! Dobrze, że raczyłaś zacząć choć teraz, z chęcią zaliczę cię do stałych korespondentek. I ja jestem amatorką koni i lubię konną jazdę. Piszę jak najczęściej.

Nie mogę ci tym razem odpisać długo, kochana **Halko** z **mad Teterowa**, ale co odłożone to nie stracone, jak wrócić za parę tygodni, a znajdę taki duży — dobry list od ciebie, machnę łapką na pół kolumny. O egzaminach i ich znaczeniu wciąż naradzają się pedagodzy i nie mogą się z sobą zgodzić. Egzamina przejściowe z klasy do klasy nie są jednak tak męczące i przykre, jak wstępne, naturalnie dla tych, którzy przez cały rok dobrze się uczyli, więc nie mają potrzeby ich się obawiać. Życzę ci miłego pobytu w lubelskim, tylko ostrożnie z konną jazdą! O kartki z Równego proszę zawsze. Twój interes przekazałam redakcyi.

I **Róża bez kolców** narzeka na egzamina, choć jej tak dobrze poszły. Wakacje zaglądają te wrażenia. Jak wrócisz z Ciechocinka, kochana **Różo**, będziesz znów zdrowa i świeża, jak bywają róże z kolcami. Nie rozumiem, jakie okoliczności mogą ci przeszkodzić wziąć udział w konkursach na wypracowania i roboty. Brakiem czasu na wakacjach zasłonić się nie możesz, więc zostaje jedna tylko okoliczność — leniuser, ale tego po mojej **Róży** się nie spodziewam. Konkurs wytrwałości zwykle ogłasza redakcyja na 4-y kwartał.

Czy wiesz, **Dobrusiu K.**, że parę dni temu pokazano mi ciebie na ulicy. Z ciekawością rzuciłam okiem na swą korespondentkę, ale spostrzegłam twarzyczkę tak skrzywioną niemile, jakbyś się octu napiła lub doznała wielkiej przykrości. A przecież wien z ostatniego twego listu, żeś z nagrodą przeszła do 1-ej klasy i żadna cię przykreść nie spotkała. Objasniono nas, że ten grymas jest zbyt częstym gościem na twej twarzyczce. Dobrusiu, wierzę mi, że powinnaś koniecznie odzwyczaić się od tego nałogu, bo nietylko cię szpeci, ale daje fałszywe wyobrażenie o twym charakterze. Czekam listu z wiadomością o skutku mojej rady.

Szarą Wiselkę (siostrę Carissimy), **Krakowską Sukmanę** i **Leśną Sarenkę** za miłe odezwy serdecznie pozdrawiam,

Miechowita i **Inżynier** pewnie z **Nałęczowa** urządzają wycieczkę do **Kazimierza**. Ja jeszcze dalej pofrunę.

Złotej Gwiazdce winszuję pierwszej nagrody. Widzę, że w **Skolimowie** będzie jednocześnie kilka moich korespondentek, niech-że mi go która opisz.

St. Swirskiemu. Nie znalazłam żadnej omyłki w twym liście, kochany 3-io klasisto, tylko list bardzo krótki. Przysył ci pocztówkę z widokiem Warszawy, bo kto tak daleko od niej mieszka, powinien znać to miasto choć z rysunków i fotografii.

A teraz, drogie moje pisklęta, żegnaj was na parę tygodni. Gdy powrócę, spodziewam się, że znajdę dużo listów od was i dobrych, bez żadnych złych i smutnych wiadomości. Niech te wakacje przysporzą wam sił ducha i ciała, tego wam życzę kochająca szczerze

wasza Jaskółka.

